№ 21. Warszawa, dnia 14 (26) Maja 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

SOKRATES I KSANTYPA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

PRZEZ

Teodora Banvilla.

PRZEKŁAD

Seweryny Duchińskiej.

(Dalszy ciąg.)

SCENA SIÓDMA.

Myrhina, Sokrates, Ksantypa ukryta.

KSANTYPA (na stronie).

Cóż oni tam do siebie tak długo prawili?
Posłucham ich ukryta.

MYRHINA (do Sokratesa).

Czuję się w tej chwili,
Odrodzoną, szczęśliwą!

SOKRATES (z dobrocią).

Idź...

MYRHINA (wychodząc zwraca się z uwielbieniem i wdzięcznością).

Niechże pocałunek złożę na twem czole.

(Bierze w obie ręce głowę Sokratesa i całuje go w czoło. Wpada na to Ksantypa, wściekła z gniewu, przybiega do Myrhiny.

KSANTYPA.

A co? smaczny, Myrhino?

MYRHINA (przerażona).

Ksantypa!

KSANTYPA.

Ha, pięknie!
Czekam rychło ten niedźwiedź przed tobą uklę-
[knie.
Zbrodniarko! nikczemnico! złodziejko przebrzy-
[dła!
Podłem kłamstwem w zdradzieckie złowiłaś mnie
[sidła.
Ty miałaś go wychłostać palącemi słowy,
Że nikczemnik wasz spokój zakłóca domowy.

MYRHINA.

Mówiłam mu...

KSANTYPA.

Wiem wszystko, zbrodnia niesłychana!
Chciałaś wyrwać mu z paszczy twojego barana
Dorodnego Dracesa... Ha! serce niewieście!
Skoro mąż cię opuścił gotowaś nareszcie
Poprzestać i na moim... jednego ci mało!
Chcesz dwóch, czterech!... z radości serce mi za
[drżało,
Gdyś rzekła: „chcę go schłostać!" ha! chłosta nie-
[lada!..
Rozczula się, łzy roni, w objęcia mu pada,
Przebrzydła zalotnico bez czci i bez sromu!
Poczujesz ty gadzino jak chłoszczę w mym domu!

(Ksantypa chce się rzucić na Myrhinę, ale Sokrates chwyta ją za ramiona i zatrzymuje silnie.)

SOKRATES.

Uspokój-że się, żono!

KSANTYPA (usiłując się wydrzeć).

Precz mi, precz mi z drogi!
Filizof, niby mędrzec, a drży o nią z trwogi!

MYRHINA (nieśmiało).

Na czole Sokrtesa położyłam usta,
Lecz nie miałam złej myśli...

KSANTYPA.

Haniebna rozpusta!
Toż sama się przyznaje w prostocie gołębiej,
Piękne czoło, co sterczy jak skała z wód głębi!
Istna Nimfa z Satyrem! on łysy i brzydki
Ale mój, ja go nie dam, ja na takie zbytki

W mym domu nie pozwolę! Tyżeś mi gotowa
Skraść męża! ale słodycz z twoich ust miodowa,
Nie przywabi amorka z kołczanem i strzałą,
Gdy wątku do rozmowy nakoniec nie stało,
Dalejże w pocałunki!... zapłacisz nędznico,
[illegible] — [illegible] cię moje szpony drapieżne pochwycą!
[illegible]oś [illegible]ę w bruzdy lica tej piekielnej hydrze!

(Ksantypa wydziera się z rąk Sokratesa i z zaciśniętemi pięściami rzuca się na Myrhinę)

MYRHINA (cofając się przerażona).

Ksantypo!

(Sokrates chwyta znów Ksantypę za ramiona.)

SOKRATES (do Myrhiny).

Bądź spokojna, już się ztąd nie wydrze!

KSANTYPA (wydzierając się gwałtownie).

Puść-że mnie, Sokratesie... szarpię się daremno,
Ugryzę ją...

SOKRATES (spokojnie).

Nie.

KSANTYPA.

Mężu, miej litość nademną!

SOKRATES.

Nie mam jej...

KSANTYPA (patrząc na Myrhinę z nienawiścią).

Pocałuję tę nikczemną żmiję,
Patrzcie, jak przechyliła w bok łabędzią szyję,
Ja tę szyję ukręcę!...

SOKRATES.

Ksantypo kochana!
Żono!...

KSANTYPA.

Niechże upadnie na oba kolana
Przedemną, niech zanurzę garść w te złote grzywy
A wyrwę wszystkie kudły! będzie obraz żywy
Sokratesa, pięknego kochanka!...

(Z rozpaczliwem wysileniem)

Dlaczego
Trzymasz mnie?

SOKRATES.

Bądź spokojna, Ksantypo, dość tego!

KSANTYPA (dusząc się ze złości).

Ja chcę! muszę! krwi strugi do piersi mi płyną,
Brak mi tchu!... ja umieram... powietrza!

(Upada na łoże blada i nieruchoma)

SOKRATES (przerażony).

Myrhino!
Omdlała... wody... wody...

(Klęka u stóp Ksantypy i cuci ją.)

MYRHINA (przynosząc dzbanek z wodą).

Jak otworzy oczy
Powiem jej...

SOKRATES.

Zlejmy skronie, pot z czoła się toczy,
Lica jej takie blade jak puchy łabędzie,
Umiera! patrz, Myrhino!

MYRHINA.

Nie, nic jej nie będzie!
Nie trwóż się, my kobiety wiemy co to znaczy.

SOKRATES (pochylony nad Ksantypą).

Ksantypo, spojrzyj na mnie, zbudź się, jam w roz-
[paczy!
Miej litość, wyrzecz słowo!... milczy... zimne ręce,
Bogowie! ja nie wytrwam w tej straszliwej męce,
Ratunku!

(Podczas gdy Sokrates mówi ostatnie słowa, wchodzą tłumnie Antisthenes, Praksyas, Eupolis, Draces, Melita, Bachis i wszystkie osoby, które widziano w scenie czwartej.)

SCENA ÓSMA.

Wszyscy powyżej wymienieni.

DRACES (do Sokratesa).

Co się stało? jęczysz... twe łzy płyną!

MYRHINA (do Dracesa, kładąc palec na ustach).

Milcz... Dracesie...

DRACES.

Co widzę? tyżeś tu Myrhino?

PRAKSYAS (do Sokratesa).

Ty płaczesz?

SOKRATES (pokazując omdlałą Ksantypę).

Patrz, Ksantypa!

PRAKSYAS.

Sen zwarł jej powieki.

SOKRATES.

Umiera!

MELITA (przypatrzywszy się omdlałej).

Nie wierz temu.

BACHIS.

Skon od niej daleki.
Żyje, lekko oddycha...

SOKRATES.

Patrzcie, skrzepła cała!

MELITA.

To nic...

MYRHINA (do obecnych niesłyszana od Sokratesa).

Wpadła w szał wściekły i z gniewu omdlała,
Nie trwożmy się zbytecznie, lecz konieczność zmu-
[sza,
Do ratunku.

SOKRATES.

Drżę z trwogi, azali jej dusza
Nie ubiegła z ciała?...

(Kobiety otaczają Ksantypę nieokazując niepokoju, Sokrates idzie do nich, Eupolis zatrzymuje go.)

EUPOLIS.

I to cię tak trwoży?

PRAKSYAS.

Płaczesz jej?

DRACES.

Gdyby żyła, byłoby ci gorzej!

ANTISTHENES.

O! moi przyjaciele, wartoż to łez tyle,
Za kobietę szaloną!

DRACES.

Co mu wszystkie chwile
Truła ciągłemi swary!...

EUPOLIS.

Za jędzą złośliwą.

ANTISTHENES.

Nienawistną dla wszystkich...

DRACES.

Przewrotną i mściwą.

EUPOLIS.

Gorzką!....

ANTISTHENES.

Co nim pomiata, stopami go gniecie.

DRACES.

Krzykliwą jak ptak nocny.

MELITA (do Sokratesa).

Alboż to na świecie
Brak kobiet? tobie mistrzu słodkiej trzeba żony.

ANTISTHENES (do Sokratesa).

Otrzyj łzy, kto ją widział, powie żeś szalony.
Twój grzbiet zgiął się pod jarzmem, już tego za
[wiele,
Odetchniesz pełną piersią...

(*Dokończenie nastąpi.*)

Kobieta i nauka.

O nauce odpowiedniej kobietom, nie od dziś dnia zdania są podzielone. Konieczność pewnego wykształcenia nie jest zaprzeczoną tylko granicą do jakiej dochodzić powinno różnym ulega opiniom i gdy jedni żadnej tamy pod tym względem kobietom nie stawiają, zgadzając się na wszystkie zajęcia jakimby się oddać pragnęły, drudzy radziby je do ostateczności ograniczyć i porobić tylko gospodyniami i skrzętnemi niańkami dzieci, zaledwie umiejącemi czytać z książki modlitwy przy nabożeństwie i wpisać dzienne wydatki do regestrów.

Nie jest to jednak tak dziwne wymaganie jak się na pozór wydaje.

Jeżeli jest bowiem sekta nakazująca swym członkom unikanie wszelkiej nauki, nawet umiejętności znania abecadła, jako przeszkadzającego do otrzymania zbawienia duszy, to dlaczegóż nie mają znajdować się tacy, coby radzi w kobiecie widzieć tylko haremową sługę niezdolną do sądu i rozwagi?

Sekciarze tak nieprzyjaźni nauce zowią się od nieumiejętności abecadła, Abecedaryuszami, niechętnych oświacie kobiet, należałoby nazwać Ociemniaczami, samobójcami własnego ducha, który zdziczeć musi przy towarzyszce niepodniesionej urokiem poetycznego wdzięku.

Wprawdzie obie strony silnemi bardzo przykładami popierają swoje dowodzenia, wykazując pożyteczność głupoty a szkodliwość nauki, ale to kwestyi nie rozstrzyga. Nauka nie równa nauce i od sposobu jej nabywania zależy dopiero jej użyteczność.

Źle podawana, złe musi wydawać plony, stosowana dobrze staje się dobrodziejstwem człowieka.

W tym to duchu Figaro paryzki postawił swym czytelniczkom pytanie: czy kobieta straciła czy też zyskała na uroku skutkiem wyższego wykształcenia? Oto odpowiedzi niektóre z nich: „Biedni mężczyźni! Jakżeż stęchłym będzie zapach ślubnego bukietu, gdy niewinne istoty, które straciły zaledwie na podniebieniu smak mleka, poić się będą fałszowanem winem nowej nauki. Młoda panna wejdzie w świat z brudnemi paznokciami, potarganą, obciętą czupryną. Istota ta wypowie na zawsze rozbrat mydłu, szczotkom, zapachowi fiołków, miłości, ideałowi; lecz natomiast nazwie rzecz każdą po imieniu. Adamie, cóżbyś powiedział, gdyby jasnowłosa Ewa wykładała ci o ustroju nerwowym i o przyrządzie trawienia? Panny nowoczesne wierzyć będą tylko w to, co można sprawdzić. Będą robiły doświadczenia bez końca. Dla marzycielek, miłość jest słodkiem złudzeniem; dla dewotek (?), małżeństwo jest obowiązkiem, częstokroć nawet przyjemnym. Odtąd nie będzie ani marzycielek, ani dewotek. Będą tylko doktorowie, adwokaci, chemicy i inżynierowie w spódnicach. O Panie — zawołają jednym głosem mężczyźni— daj nam płaszcz Józefa!

Druga odezwa podpisana jest znanem miłośnikom lekkiej lektury pseudonimem Gypa.

„Wychowanie współczesne jest niedorzeczne, niepotrzebne i szkodliwe... dla zdrowia i umysłu młodych dziewcząt. Uczy je ono wielu rzeczy, o których nie powinny wiedzieć, a nie daje im możności nauczenia się tego, co umieć powinny. Ludzie „poważni" odpowiedzą na to, że „trzeba uzdolnić przyszłą matkę rodziny do kierowania wykształceniem swych dzieci." Lecz wówczas nie będzie to matka, którą się kocha i pieści będzie to belfer, którego dziecko, nawet najlepsze boi się i unika. Co za dziwny sposób pojmowania macierzyństwa! Według mnie, trzeba dać dziewczętom wykształcenie średnie; nauczyć je być dobremi, uczciwemi i *ładnemi* (i tego trzeba się uczyć, jak każdego innego przymiotu). Gdyby mężczyźni zamiast „siły" posiadali choć trochę przenikliwości, nie pozwoliliby kobietom stawać się *sawantkami*. Mają nad nimi jedną tylko przewagę niezaprzeczoną, *są nudniejsi*. Jeżeli ją stracą cóż im pozostanie?

FRAGMENT.

O święty Mistrzu czemuż Twoje słowa,
Brzmią dotąd echem w rozległym przestwo-
[rze,
Czyż pierś człowieka jest już tak lodowa,
Że Twoja miłość rozgrzać jej nie może?

Dopókiż ludzkość z umysłem zbłąkanym,
Z zamkniętem okiem szukać będzie świtu,
Który tak jasny, światłem niekłamanem,
Błyszczy w świetlanych wyżynach błękitu.

Czyż długo jeszcze ten łańcuch złowrogi,
W który się ludzie zakuli z złej woli,
Będzie im pętał zakrwawione nogi,
I będzie hasłem, — piętnem ich niedoli?

Oh kiedyż przyjdzie ta wielka godzina,
Gdy ludzkość cała w braterskim uścisku,
Złączy się razem jak jedna rodzina,
Przy wspólnem bratniej miłości ognisku?

Marya Z.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Po roku wdowieństwa spotkał nad brzegiem morza młodą, elegancką i otoczoną rojem wielbicieli wdówkę, która podjęła się uzupełnić jego światową edukacyą. Towarzystwo jakie spotkał u niej, myślało jedynie o zabawie a chociaż Hérault z właściwą sobie przenikliwością odgadł, że nie wszystkie kobiety były tam wysokiej wartości moralnej, wdzięcznym był jednak tej, która mu nastręczyła sposobność wesołego przepędzenia czasu i wdzięczność swoją w brzęczący sposób popierał, stosując się wiernie do zasad światowej filozofii, która twierdzi, że ponieważ człowiek nie wie na pewno co się z nim stanie po śmierci, powinien o ile to jest w jego możności, uprzyjemniać sobie życie doczesne. Stary Hérault zadrżałby ze zgrozy i oburzenia usłyszawszy taką przewrotną zasadę, na szczęście spał już spokojnie snem wiecznym podczas gdy syn puszczał ciężko zapracowane przez ojca pieniędze. Przysłowie mówi, że pańskie oko konia tuczy, to też i fabryka gorzej iść poczęła, gdy Hérault mniej ją doglądał.

Pomimo to Piotr Hérault nie był rozrzutnikiem a chociaż nie dorabiał się większego majątku, nie rujnował się też bynajmniej. Żył wygodnie z procentów nienaruszając olbrzymich kapitałów, ktoś patrzący na niego z boku myślałby, że ten człowiek w krótkim czasie musi stracić majątek, tak sypał na wszystkie strony pieniędzmi, w gruncie rzeczy jednak był on bardzo oględny i nie przekroczył nigdy granic nakreślonych przez rozsądek. Syn jego Ludwik wprost przeciwnego był usposobienia, od kolebki otoczony zbytkiem miał zawsze wielką skłonność do rozrzutności.

Dzieckiem jeszcze będąc cenił tylko rzeczy kosztowne a brzydził się pracą. Pomimo że nie miał wcale zakutej głowy, a nawet przeciwnie, bystry był i rozwinięty, nie mógł zdać żadnego egzaminu i gdy skończył lat ośmnaście, przez protekcyą tylko umieszczono go w wojsku. Babcia patrząc na tego ślicznego, białego, różowego i jasnowłosego chłopca, raczej podobniejszego do panienki niż do rycerza, gorzkiemi zalewała się łzami na samą myśl, że ubiorą go w mundur huzarski i rozpaczała bardziej niż po utracie męża. Po wyjeździe wnuka dom wydał jej się nieznośną pustką wśród której błąkała się jak pokutująca dusza. Nawet kwiaty nie zajmowały ją wcale, najpyszniejsze storczyki nęcące barwami i wonią nie zdołały wywołać jej uwielbienia. Po tygodniu takiej męki, niezdolna żyć dłużej zdala od wnuka, staruszka pojechała do Evreux gdzie stał pułk, w którym służył Ludwik i zamieszkała w oberży.

Lecz chociaż nie była zbyt wymagającą, tak jednak było jej niewygodnie na tej nowej siedzibie, że zaczęła szukać w okolicy jakiegoś domku, w którym mogłaby spokojnie mieszkać przez rok służby Ludwisia czyli męczeństwa, jak mawiała z westchnieniem. Tymczasem obecność babci nie zbyt podobała się wnukowi, który przybywszy do pułku znalazł tam bardzo wesołe towarzystwo. Koledzy jego, ochotnicy jak i on, odbywający obowiązkowy rok służby wojskowej, czas wolny od mustry lub wykładów naukowych, spędzali bardzo przyjemnie. Kilkunastu z nich utworzyło sobie, w jednym z domków na przedmieściu rodzaj klubu, w którym jedli, pili, palili lub zabawiali się z ładnemi dziewczętami. Można sobie łatwo wyobrazić, że w takim składzie rzeczy przyjazd babci nie na rękę był Ludwikowi.

W pierwszej chwili chciał nawet koniecznie wyprawić ją z powrotem do Paryża, lecz nie tak to łatwo pozbyć się kochających istot. Napróżno młody człowiek tłomaczył babce, że jest zdrów, że nic mu nie brakuje i że teraz jej opieka nie jest mu już potrzebna. Lecz gdy wszelkie jego przedstawienia nie zdołały przekonać staruszki, wtedy i on zaczął upatrywać jakiej willi lub pałacyku byle tylko nie zbyt blizko miasteczka położonych. Po długich poszukiwaniach znalazł wreszcie ładny

pałacyk, zbudowany nad brzegiem rzeczki l'Eure'y między lasami Pacy i Breteuil.

Miejscowość zwana Boissise le Roy, miała bardzo ładne położenie, śliczny park i kawał lasu. Właściciel wynajął ją chętnie, zgadzając się nawet na warunek, że pani Hérault nabędzie ją na własność, jeśli pobyt w niej spodoba się staruszce. Ludwik z wyrafinowaną przebiegłością, do której jednak nie potrzebował się uciekać gdyż wola jego była prawem dla pani Hérault, przedstawił babce wszystkie korzyści mieszkania w Boissise.

— Będziesz tam miała babciu ładną cieplarnię — rzekł, a pamięć ta rozrzewniała panią Hérault.

Szanując prawdę musimy wyznać, że Ludwik bardziej myślał o własnych aniżeli o babki przyjemnościach. Uszczęśliwiony, że Boissise leży o trzy mile od Evreux, pocieszał babkę, że będzie blizko niego a pokazując jej ze wzgórka przed pałacem wieżyczki kościołów w Evreux, rzekł:

— Ztąd będzie babcia mogła doskonale widzieć przez lornetkę dach w koszarach, tak więc będąc prawie razem, będziesz babciu jednocześnie na świeżem powietrzu. . Dobremi końmi w niecałą godzinę dojedziesz do miasteczka... a co niedziela ja z mojemi towarzyszami zjemy u ciebie obiadek.

Pani Hérault wynajęła więc Boissise i sprowadziła z Paryża służbę, konie, powozy i meble, których brak było trochę w nowym domu. Po niejakim czasie była nawet zadowolona z pobytu w Boissise, cieplarnie podobały jej się bardzo i ze zdwojoną gorliwością wzięła się znów do pielęgnowania kwiatów, może dlatego, że Ludwiś ją do tego zajęcia nakłaniał. Tymczasem młody człowiek wykręcał się jak mógł od obowiązków służbowych, ujmując sobie podoficerów to cygarami, to innym jakim datkiem. Dni upływały mu wesoło na partyi pokeru lub bakarata, lub zabawach w *kawiarni paryzkiej*.

W Boissise niezłe było polowanie, to też w połowie sierpnia, Piotr Hérault który dotychczas nie chciał słyszéć o wyjeździe na wieś, przyjechał na dni kilka do matki i miejscowość tak mu się spodobała, że nagle polubiwszy wiejskie życie, postanowił spędzić w Boissise jesień. Zresztą dwie godziny drogi oddzielały go tylko od Paryża, nie potrzebował więc zrywać ze światem. Przyjazd jego wywołał ruch niezwykły w tym spokojnym zakątku. Piotr znał z klubu kilku oficerów, ci przywiedli ze sobą towarzyszy i wkrótce cichy pałacyk w Boissise napełnił się gwarem i brzękiem ostróg; brak w nim tylko było płci pięknej, której jedyną przedstawicielką była sędziwa pani Hérault.

Lecz i ta niedogodność znikła z czasem, gdyż Hérault zaprosił sąsiednich obywateli z żonami i córkami a że sędziwa pani Hérault była jeszcze bardzo miłą osobą a Piotr uprzejmym gospodarzem, stosunki zawiązały się dość łatwo. Ludwik częściej przebywał w zamku niż w koszarach, chociaż obecność zwierzchników onieśmielała go jeszcze bardziej, gdy ci ostatni byli gośćmi jego ojca. Urok władzy wywołany długiem przyzwyczajeniem nie zaciera się tak łatwo.

Piotr Hérault, który od chwili wejścia w świat elegancki, nauczył się jeździć konno, byłby z chęcią urządził wielkie polowanie, gdyż lasy obfitowały we wszelkiego rodzaju zwierzynę a grunt równy i piaszczysty nadawał się do szybkiej jazdy. Lecz pora była jeszcze nieodpowiednia do polowania, a zresztą brakowało psów gończych, trzeba więc było zadowolnić się polowaniem na drobną zwierzynę. W wycieczkach tych brali naturalnie udział i oficerowie garnizonu.

Ludwik, który był znakomitym jeźdźcem, trzymał się zdala od swoich wodzów, aby nie prześcignąć ich coby mu zresztą przyszło z łatwością dzięki rasowym rumakom ojca. Z nieporównanym taktem odgadł, że nie sprawiłobyim to przyjemności i że choć są tak mili w Boissise potrafiliby może być surowymi w Evreux.

Wyjeżdżał więc z domu razem ze wszystkiemi przybierając skromną postawę zwykłego żołnierza, aby elegancyą swoją nie razić nawet podporucznika a po pięciu minutach skręcał w bok i zagłębiał się w las, zdala od zgiełku i wrzawy całego towarzystwa, słuchając tajemniczego szmeru drzew i szelestu traw uginających się pod kopytami końskiemi. Kiedy niekiedy przerywał ciszę leśną krzyk sójki lub jednostajne odzywanie się kukułki ukrytej w gęstwinie.

Dojechawszy do skraju lasu, siadał po nad rowem i godzinami całemi wpatrywał się w łany zbóż złocistych, falujących lekko pod tchnieniem wietrzyka i oświetlonych gorącemi promieniami letniego słońca. Echo przynosiło mu z daleka odgłos rogów myśliwskich a głęboki spokój otaczający go dokoła, sprawiał mu niewymowną rozkosz po hałaśliwem i gorączkowem życiu jakie wiódł prawie ciągle.

Ogarniało go dziwnie słodkie uczucie, którego sam nie potrafiłby był dokładnie określić, marzył dziwiąc się, że godziny upływały mu tak szybko i zaczął pojmować niejasno, że jest może na świecie inne jeszcze szczęście oprócz wytwornych obiadów, chwilowych miłostek i wzruszeń przy grze w karty.

Charakter Ludwika łagodny, tkliwy, zbyt nawet miękki jak na mężczyznę, z łatwością dałby się skierować ku dobremu, lecz potrzeba było na to potężnego i ciągle oddziaływającego wpływu. Pod takim wpływem dwudziestoletni chłopiec trochę popsuty majątkiem i powodzeniem, zmienić się mógł na dobrego i szlachetnie myślącego człowieka, zamiast pozostać bezcelowym próżniakiem nieprzyjemnym dla drugich a niebezpiecznym dla siebie samego. Dotychczas nie można było przesądzać co z niego życie uczyni, a nie miał też nikogo coby poważnie myślał o jego przyszłości. Babka nie posiadała wcale wyższego umysłowego wykształcenia a ojciec zbyt był zajęty sobą i używaniem rozkoszy światowych, do których się dorwał dopiero po czterdziestu latach surowego życia, aby miał się wyłącznie poświęcić synowi.

Pewnego dnia całe towarzystwo wybrało się na daleką wycieczkę do ruin starożytnego opactwa de Prémotrés, znanego archeologom pod nazwą opactwa de Saint-Wulfrand. W ruinach było już przygotowane dla gości wykwintne śniadanie. Około godziny czwartej po południu, Ludwik podług zwyczaju odłączył się od towarzystwa i zwolna jechał drogą ku Boissise. Był zamyślony i w złym humorze dzień cały, gdyż znaczna przegrana w karty zmusiła go zwrócić się z prośbą o pieniądze do ojca. Lecz ojciec nie zrozumiał czy też zrozumiéć nie chciał jego półsłówek, postanowił zatem powierzyć swój kłopot babce. Rozmyślając nad całą tą sprawą, palił cygaro i otaczając się kłębami wonnego dymu pocieszał się w duszy nadzieją, że za dwa miesiące skończy się jego służba wojskowa, a wtedy będzie mógł wieść wesołe życie w Paryżu. Wtem, nagle przejeżdżając koło wyrębu w lesie usłyszał wołanie. Zatrzymał się więc zdziwiony i ujrzał w odległości jakich dwustu metrów kogoś, który stojąc przy powozie, dawał mu znak ręką, aby się przybliżył. Żywo popędził konia drogą pełną głębokich wyboi spowodowanych ciągłym przejazdem fur ładownych drzewem, i w kilka minut był już przy osobie wzywającej jego pomocy.

Był to czternastoletni może chłopczyna blondynek, z chorowitą cerą i przygarbionemi ramionami, ubrany w sukienną bluzę i takież spodeńki obciśnięte skórzanemi kamaszami. Głowę okrywał szary, filcowy kapelusz. Chłopiec nieostrożnie zapuściwszy się na złą drogę, nie mógł już z niej wyjechać, gdyż u angielskiego karykla zaprzężonego w ładnego kuca, spadło jedno koło i powozik leżał teraz pochylony na bok. Dziecię napróżno usiłowało go podnieść, widząc jednak, że nie da sobie rady, zaczęło odprzęgać kuca, w chwili gdy Ludwik nadjechał na miejsce katastrofy.

— Hej! panie żołnierzu, pomóżno mi trochę! — zawołał chłopczyna z akcentem śmiałej pewności w głosie. Nie mogę ani dźwignąć mego powozu ani oswobodzić konia...

— Bo też mój mały bierzesz się do tego zupełnie niezręcznie — odparł Ludwik zeskakując z konia.

Chłopczyna z drwiącą miną spojrzał na wojskowego i rzekł wzruszając ramionami:

— Zobaczymy czy okażesz się zręczniejszym ode mnie, mój panie, co tak surowo krytykujesz innych...

— O! to rzecz wcale nietrudna — odpowiedział spokojnie Ludwik, poczem podniósł koło, które uwięzło w grząskiej ziemi i przekonał się, że nie było złamane; następnie chwyciwszy dwoma rękami za oś, dźwignął do góry powozik. Kuc spokojny widać z natury a przytem znużony wysiłkiem, nie poruszył się nawet.

— Potrzeba mi teraz czegoś do podtrzymania osi — rzekł Ludwik.

W tej chwili wzrok jego padł na stos suchego chróstu.

— Podajno mi mały przyjacielu dwie wiązki tego drzewa — dodał.

Dziecię podniosło dużą wiązkę gałęzi, uchylając się pod jej ciężarem. W wysiłku spowodowanym tą czynnością, kapelusz spadł mu z głowy i Ludwik ujrzał ze zdumieniem, że jasne włosy jego towarzysza były podczesane wysoko i spięte kobiecym grzebieniem. Szybko więc schylił się po kapelusz a podając go z lekkim ukłonem, rzekł uprzejmie:

— Przepraszam panią za moją swobodę obejścia, gdybym był wiedział z kim mam do czynienia nie posunąłbym się do podobnej poufałości.

— Nie gniewam się o to bynajmniej! Gdyby nie ten głupi kapelusz nie domyśliłbyś się nigdy, że rozmawiasz z młodą dziewczyną... Ale przypuśćmy, że nie wiesz o tem i weźmy się dalej do dzieła...

Ludwik umocował koło jak mógł i za pomocą nadłamanych ćwieków przytwierdził je do osi, poczem obrócił je kilka razy aby się przekonać, że wytrzyma czas jakiś, następnie rzekł zwracając się do dziewczyny:

— Zdaje się, że bezpiecznie zajedziesz pani do domu .. Jeśli pozwolisz będę ci towarzyszyć dopóki na dobrą nie wydostaniesz się drogę.

— Ależ nie chciałabym abyś pan z mojej przyczyny oddalał się od domu.

— Niedaleką mam drogę przed sobą mieszkam bowiem w Boissise...

— A! więc zapewnie jesteś młodym Héraultem?

Ludwik słysząc powyższe słowa spojrzał ze zdumieniem na dziewczynę odzywającą się do niego z taką swobodą. Mogła ona mieć najwyżej lat pietnaście lecz i na to nie wyglądała z powodu nieco ułomnej figury i bladej, chorobliwej cery. Z wychudłej twarzy świeciło dwoje szarych, złośliwym dowcipem błyszczących oczu. Ujęła lejce i cmoknęła na konia, który zadowolony z odpoczynku nie miał wcale ochoty się ruszyć. Rozgniewana wyciągnęła długą, kościstą rękę do Ludwika i podając mu bicz rzekła:

— Bądź pan tak dobrym i przyłóż kilka dobrych batów temu leniuchowi.

— Poradzę sobie w inny sposób — odparł młody człowiek i przytrzymując lewą ręką za uzdę swego konia, całą siłą prawego ramienia popchnął lekki powozik, który potoczył się zwolna po błotnistej drodze. Ludwik szedł obok dopóki nie dojechali do lepszego gościńca.

— Chwała Bogu dopłynęliśmy szczęśliwie do brzegu! — zawołała młoda dziewczyna... Teraz mój zbawco nie pozostaje mi nic więcej jak tylko wyrazić ci moją nieograniczoną wdzięczność.

— Niewarto wspominać o takiej małej przysłudze...

— Wcale nie mała, skoro zaszargałeś się pan jak pudel... Ale cóżby się nie uczyniło dla piękności, nieprawdaż? — dodała z ironią. — Ale, ale, nie spytałeś mi się pan nawet o nazwisko, co wcale grzecznie z pana strony nie jest...

— Lękałem się być natrętnym...

— A raczej nie dbasz pan o to czy się kiedy jeszcze w życiu spotkamy — dodała ze smutnym uśmiechem. — Rozumiem to bardzo dobrze! Pomimo jednak pańskiej powściągliwości zarekomenduję mu się sama — ciągnęła dalej po krótkiej przerwie. — Mieszkam o milę ztąd i na imię mi Emilia, ojciec mój pan Lereboulley jest senatorem, łatwo go pan poznasz po uprzejmem obejściu i towarzystwie ładnych kobiet w gronie których chętnie przebywa.

Ludwik spojrzał z ciekawością na młode dziewczę.

— A matka pani? — spytał wahająco.

Lekka chmurka przemknęła po czole Emilii, twarz jej przybrała jakiś surowy wyraz a głos drżał z lekka, gdy odpowiedziała Ludwikowi:

— Moja matka nie żyje.

Poczem skłoniła lekko głową na znak pożegnania i podciąwszy konia biczem, oddaliła się szybko. Ludwik ścigał ją wzrokiem dopóki nie zniknęła na zakręcie drogi, niemogąc się otrząsnąć z wrażenia jakie na nim uczyniło młode dziewczę.

— Dziwny charakter — powiedział sobie w duchu, co za szczególna w nim mieszanina szyderstwa i czułości.

Lecz że nie należał do ludzi zastanawiających się nad czemś zbyt długo, wskoczył po chwili na konia i skierował się ku domowi.

Pan Lereboulley wistocie był bardzo uprzejmym człowiekiem. Nazajutrz złożył wizytę mieszkańcom Boissise, dziękując za pomoc jaką Ludwik udzielił jego córce; Emilia jednak nie towarzyszyła mu w tej wycieczce. Senator od pierwszego poznania polubił bardzo Piotra Hérault, widać, że obydwaj odgadli w sobie nawzajem jedność gustów i upodobań, bo w krótkim czasie stali się serdecznemi przyjaciołmi. Lereboulley miał około pięćdziesięciu lat, był wysokiego wzrostu i dobrej tuszy; twarz pulchną, wygoloną starannie krasił zawsze dobrotliwym uśmiechem. Wyrażał się z łatwością, zatrącając zlekka akcentem normandzkim. Rodzina jego od kilku już pokoleń miała wpływ wielki w departamencie l'Eure. Za czasów cesarstwa, ojciec obecnego senatora, szczery orleanista, walczył do upadłego z prefektem, zwolennikiem pojęc rewolucyjnych i niełatwo został pokonany. Zarząd departamentu zasypany łaskami władzy, przyjął narzuconego mu kandydata. Lecz wkrótce po wprowadzeniu rządu republikańskiego, rodzina Lereboulley odzyskała swoje wpływy. Najstarszy jej potomek z linii męzkiej był znowu potężnym, wpływowym panem; sąsiadująca z Boissise willa d'Evreux była jego własnością, piastował od lat wielu godność senatorską a jeden z jego siostrzeńców został deputowanym; jednem słowem, można powiedzieć, że byli prawie samowładnemi panami departamentu.

Lereboulley z pozoru dowcipny i wesoły światowiec, miał w istocie doskonałą głowę do interesów i potrafił je tak znakomicie kierować, że z jego operacyami finansowemi nawet giełda rachować się musiała. Był on dyrektorem banku, administratorem kolei żelaznej południowej i tak pod względem politycznym jakoteż majątkowym, zajmował wybitne w świecie stanowisko.

Wdowiec, miał tylko jedną córkę, którą kochał tem czulej im więcej trudu w wychowaniu przedstawiał mu jej niepodległy charakter, przez miłość dla niej nie chciał się nawet powtórnie ożenić, chociaż niejedna kobieta z radością byłaby przyjęła jego rękę, lecz senator nie mógł się pogodzić z myślą narzucenia swojej cierpiącej i chorowitej Emilci, jakiej despotycznej macochy.

— Gdybym miał więcej dzieci zdrowszych i silniejszych — mówił sobie w duchu, biedna moja córeczka byłaby może zaniedbaną i opuszczoną. Nie chciałbym za nic w świecie, aby ktokolwiek miał ją wyrugować z mego serca i pragnę, aby była zawsze jedyną panią w moim domu.

Jak postanowił tak też i uczynił, wynagradzając sobie to wyrzeczenie najróżnorodniejszemi miłostkami. Wiek nie ostudził jego upodobań i zawsze, jak powiedziała córka, można go było spotkać w towarzystwie ładnej kobiety. Salon wdowy, u której często bywał Piotr Hérault, podobał się niezmiernie staremu motylowi i tym sposobem przyjaźń jego z Héraultem wzmocniła się jeszcze bardziej. Zaczęli razem prowadzić różne interesa, Hérault należał do rozmaitych operacyi finansowych, obmyślanych przez Lereboulleya a Lereboulley za to miał jakiś udział w fabrykach Héraulta.

Dzieci za przykładem rodziców zaprzyjaźniły się też szczerze a było to tkliwe i trwałe przywiązanie, bez śladu najmniejszego wyrachowania i małżeńskich na przyszłość projektów, które byłyby niemożliwe z powodu urody chłopca i brzydoty biednej, upośledzonej dziewczyny. Było to więc z obydwóch stron uczucie najzupełniej bezinteresowne, Emilię pociągała wesołość i młodzieńcza swoboda Ludwika, Ludwik zaś czuł pewną litość i współczucie dla istoty tak okrutnie skrzywdzonej przez naturę, a jednak posiadającej mnóstwo zalet umysłu i serca.

Charakter dwojga młodych ludzi stanowił zupełną sprzeczność i to zapewniała właśnie długotrwałość ich przyjaźni, zresztą panna Lereboulley miała wielką przyjemność odwiedzając dom państwa, Hérault, gdyż niezmiernie polubiła babcię. Od dzieciństwa pozbawiona pieszczot macierzyńskich, sercem i duszą przylgnęła do staruszki, dla niej wyrzekała się nawet swoich męzkich nawyknień i stawała się słodką i uprzejmą, jaką zwykle bywa młoda dziewczyna. Przywiązanie jej i obecność zjawiły się w samą porę, gdyż Ludwik wstępując w ślady ojca, zaczął doszedłszy do pełnoletności, używać w całej pełni życia, z tą tylko różnicą, że umiejętniej potrafił wyrzucać pieniądze. Pomiędzy rozrzutnością ojca i syna taka zachodziła różnica jak pomiędzy lotem kukułki a biegiem kolei żelaznej. Pierwsza płynęła sobie spokojnie w powietrzu, robiąc niezmiennie trzy mile na godzinę; drugi pędził na oślep, z szalonym pośpiechem przebiegając przestrzeń, ziejąc kłębami dymu i pary i grzmiącym hukiem napełniając powietrze.

W niespełna trzy lata Ludwik roztrwonił spadek po matce, i już gotował się zbogacać swemi podpisami lichwiarzy paryzkich, gdy nagła śmierć ojca, który zmarł na apopleksyą, uczyniła go panem całego majątku. Pewnego dnia, po powrocie z jakiejś bibki, którą Lereboulley wyprawiał razem z Héraultem, ten ostatni uczuł się nie zdrów. Wróciwszy do siebie skarżył się przed służącym na ból głowy i dziwne uczucie ociężałości, a nazajutrz znaleziono go już nieżywym w łóżku.

Tego samego dnia w którym przed bramą pałacyku Hérault-Gandon rozwieszano żałobne kiry, na dwie godziny przed przybyciem strojnego, w srebro i strusie pióra przybranego karawanu, który miał odwieźć na miejsce wiecznego spoczynku syna dawnego nadzorcy fabryki w Graville, przed pałacykiem zatrzymało się dwóch ludzi, niosąc na tragach skromne mebelki. Widząc to odźwierny rzekł do nich z niezadowoleniem:

— A nieznośna rzecz, żeby się przeprowadzać dzisiaj!

— Przecież dziś jest pietnasty — odpowiedział jeden z tragarzy — my więc jesteśmy w swojem prawie, tylko wasz nieboszczyk wypłatał wam figla...

— Proszę nie wyrażać się w ten sposób—przerwał mu z surową naganą odźwierny — nieboszczyk był właścicielem tego domu.

— Jeśli tak to przyznajcie, że mam zupełną słuszność — rzekł drugi tragarz wzruszając ramionami. — Właściciel który umiera w kwartalnym terminie nie ma za grosz sensu w głowie!

— No, no, dajcie już pokój rozprawom i wnoście czemprędzej rzeczy, zanim wystawią ciało na widok publiczny.

Tragarze uwinęli się szybko i za trzecim powrotem przeprowadzka była już ukończoną.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

Niezwykły ruch panuje dziś w Paryżu, jak zwykle o tej porze, Magazyny przygotowały mnóstwo sukien i kostyumów, na zbliżające się wielkie wyścigi i zabawy kwiatowe. Dziś właśnie zwiedziliśmy pracownię panny Elizy Mery (przy ulicy Caumartin N-r 48), z pomiędzy dwudziestu co najmniej zamówionych sukien, sami nie wiemy co wybrać do opisu, tak wszystkie wytwornym nacechowane smakiem. Zacznijmy od ogólnych uwag: Suknie zwane Directoire lub Recamier, należą

dziś do najmodniejszych. Spódnica u nich prosta, fałdowana w głębokie plisy, wcale nie podpinana, stanik także fałdowany, niekiedy krzyżujący się na piersiach, bez bawetu, przepasany szeroką szarfą, związaną na boku lub w tyle na długą kokardę z końcami. Rękawy bywają rozmaite, jedne zupełnie płaskie, inne przymarszczone u ramienia i u ręki, ujęte w wązki mankiet, inne znów przybrane w górze dość rozniesistą buffą. Z materyi letnich najwięcej używane *surah* i *taffetat glace*, mienione w dwóch kolorach, jak popielaty z różowym (vieux rose), granatowy z pąsowym, zielony z *saumon*, kolor rezedowy bardzo też ulubiony, równie jak popielato błękitny *bleu electrique*. Wiele widać sukien z lekkiej wełny, *voile*, *mousseline de laine* i t. d., ze szlakiem haftowanym u dołu, jedwabiem i nitką metalową, złotą lub z oksydowanego srebra. Kołnierze stojące u kostyumów jeszcze się utrzymują, ale widzimy też odwinięte na dół fryzy, z koronki albo plisowanego muszlinu z odpowiednim żabotem. U dołu spódniczek skasowano balejeuzy, zastąpiono je riuszą jedwabną, wystrzyganą w maszynie.

Po tych ogólnych uwagach przystępujemy do szczegółowego opisu, wytwornych sukien i kostyumów panny Mery.

Kostyum wizytowy z materyi surah, mienionej w dwóch kolorach, zielonym w odcieniu *pistache* i *saumon*. Spódniczka nie mieniona koloru zielonego, zakończona u dołu rzęsistą, wystrzyganą riuszą. Na wierzch idzie mieniona poloneza, krajana prosto. Tylne bryty, tworzą surducik, przody przymarszczone do ramienia, puszczone wolno, nie odcięte w stanie, przepasane szeroką szarfą zieloną; długa kokarda z końcami, spada po prawym boku, te końce objęte u dołu frendzlą jedwabną.

Kapelusik do tego okrągły *Tosca*, ze słomki brukselskiej, rondo szerokie wystające naprzód. Główka opięta cała bluszczem, przybrana kokardami z zielonej wstążki, pod rondem aksamit zielony.

Druga suknia z lekkiej tkaniny wełnianej *voile*, w kolorze rezedowym. Spódnica krajana prosto, przyfałdowana w grube plisy. U dołu szlak szeroki na ćwierć łokcia, haftowany jedwabiem różowym, śmietankowym, rezedowym i srebrną nitką. Przód nie odcięty od stanika, zarówno plisowanego. Przez ramiona przechodzi szarfa w odcieniu śmietankowym, krzyżuje się na piersi, otacza stanik w pasie i spada na bok, związana kokardą z końcami. Kołnierzyk stojący śmietankowy, na wierzch idzie westka z materyi śmietankowej, w pasy broszowane różowe (vieux rose), otwarta szeroko na piersiach.

Dopełnia ubrania kapelusik z ryżowej słomy, przybrany na główce wielkim bukietem z bladych róż bengalskich i rezedy.

Trzecia suknia biała muszlinowa, przez cały przód spódniczki, przechodzą w poprzecz haftowane pasy w odstępach, na to idzie poloneza, w haftowany rzucik, otoczona szlakiem, mocno otwarta z przodu, bryty przednie zaokrąglone po bokach. Stanik otwarty, pod spód szmizetka z gładkiego muszlinu w zakładki, z odwiniętą na dół fryzą i żabocikiem zwróconym w jedną stronę, spięta na rzęd perłowych guzików. Rękawy szerokie, przymarszczone, u ręki mankiet plisowany, odwinięty do góry.

Kapelusik do tego brukselski *Tosca*, pokryty cały bukietem z polnych kwiatków i kłosów. Pod rondem naszyta gładko koronka, w pośrodku pęczek bławatków i konwalii.

Czwarta suknia popielata morowa," w odcieniu stalowem. Spódnica prosta w głębokie fałdy. Fartuszek długi, zwrócony płasko na bok, z materyi *faille* popielatej, cały zahaftowany jedwabiem i złotem. Stanik krótki, opasany szarfą związaną z boku na długą kokardę. Rękaw płaski, od ramienia dany drugi z koronki bufowanej. U szyi fryza koronkowa odwinięta na stanik, żabot koronkowy.

Kapelusik Tosca ze słomki brukselskiej, na całą główkę rzucony bukiet z różowych azalei pomieszanych z liśćmi, rondo podbite koronką.

Piąta suknia morowa zielona w odcieniu *pistache*. Spódnica prosta, fałdowana w głębokie plisy. Na wierzch czarna tiulowa, przerabiana w rzucik okrągły w formie pastyli. Te pastyle u dołu wielkie zmniejszają się w miarę jak idą do góry. Stanik *Recamier*, krótki, przymarszczony, otacza go szarfa morowa, związana z boku na wielką spadającą kokardę. Rękawy płaskie, w górze buffa tiulowa.

Dopełnia ubrania kapelusik czarny z cienkiej słomki, podbity aksamitem pistacyowym. Na główce koki z czarnej wstążki morowej i bukiet z liści pomieszanych z pąsowemi jagodami.

Szósty kostyum. Poloneza z tkaniny granatowej, przezroczystej z odpasowanym brzegiem mat, szerokim na trzy cale, bryty krajane prosto, rozchodzą się na przodzie. Pod to spódniczka szafirowa jedwabna w białe paski. Stanik plisowany z gładkiej tkaniny, rękawy z buffą u ramienia, szarfa bardzo szeroka z szafirowej wstążki w białe paski, związana w tyle na wielką kokardę.

Kapelusik do tego słomkowy przezroczysty, główka cała pokryta bławatkami.

Siódmy kostyum. Spódniczka z jedwabnej materyi, ciemno błękitnej (bleu marin), przybrana u dołu wielką ruszą wystrzyganą w maszynie. Na wierzch suknia z materyi mienionej, granatowej z różowem, w deseń z różyczek polnych; przednie bryty szeroko otwarte. Stanik marszczony, rozchodzi się w górze, z pod spodu wygląda szmizetka koronkowa z odwiniętą fryzą i żabotem. Rękawy szerokie, ujęte w mankiet szafirowy. Szarfa tegoż koloru przewiązana w tyle na kokardę.

Kapelusik ma główkę z cienkiej słomki, rondo koronkowe rozpięte na drucikach. Z wierzchu rozrzucone gałązki róż polnych, także wiązka pod rondem.

Widzieliśmy także kostyumy do podróży i na ranną przechadzkę, z płócienka mienionego w dwóch kolorach, jak popielaty z jasno szafirowym, granatowy z pąsowym, lila z zielonym, brązowy z niewarowym i t. d. Szlak do tego gładki, odpasowany, w jednym z mieniących się kolorów. Spódnica prosta w zakłady ze szlaczkiem u dołu. Na wierzch idzie polka, wcale niepodpinana, przody u niej proste, zakończone szlaczkami. W stanie obciśnięty pasek morowy w odpowiednim kolorze, spięty na sprzączkę oksydowaną. Do takiego kostyumu przyjęty kapelusz ciemny słomkowy, ubrany kokami ze wstążki.

S. D.

WIADOMOŚCI

Z RÓŻNYCH STRON.

W Szkocyi, w pewnej miejscowości zwanej Rogast, w której od lat 20 nie ma policyanta, władza z niewiadomej przyczyny postanowiła takowego nadesłać, czem ludność miejscowa tak się tem uczuła srodze dotkniętą, że niezwłocznie wysłała prośbę do sekretarza stanu, aby im tej krzywdy nie robił.

U nas cokolwiek inaczej się dzieje. Bez policyanta w wielu wypadkach ani rusz! Gdy afisz teatralny zapowiada np. występ pana *Cis* albo innego dziwadła zagranicznego, przy kasie powstaje zamęt i tumult z tak ognistym szturmem połączony, że bez żadnej przesady, rannych nigdy nie brak a czasami bywają i uduszeni.

To samo teraz się powtarza przy tramwajach na stacyach krańcowych a zwłaszcza w dnie świąteczne przy Mokotowskich rogatkach. Co się tam dzieje trudno opowiedzieć, o zdobycz miejsca trzeba walczyć nietylko siłą ramienia ale i pięścią tłuc umiejącą jak młotem w kowadło. Patrzący na te zwierzęce zapasy ze wstrętem i oburzeniem, podali do zarządu tramwajów projekt zaprowadzenia biletów porządkowych na wzór zwyczaju przyjętego w Paryżu. Zarząd w odpowiedzi oświadczył: że porządek podobny został jeszcze w roku 1883 zaprowadzony, lecz okazał się najzupełniej niepraktyczny. Tłok bowiem wówczas, w połączeniu z brutalnem obejściem, podwoił się: tłoczono się przed budką kontrolera, łamano urządzone umyślnie baryery, przewracano oficyalistów kolei konnej, wskakiwano z boku do wagonów bez biletów, darto i zdzierano ubrania, pięściowano się i kułakowano, słowem kto mocniejszy ten był lepszy, na czem najgorzej wychodziły dzieci i kobiety, niemało do ogólnego tumultu i bijatyki przyczyniające się.

W takim stanie rzeczy zaprowadzoną manipulacyę biletową skasowano i dziś z wycieczek zamiejskich przy powrocie liczący na możność dorwania się do tramwaju, bez silnej pięści straszliwie się zawiedzie. Gdyby to ludu było sprawą, mniej by nas dziwiło, ale przeciwnie, lud tu bardzo podrzędną odgrywa rolę a głównie występuje tak zwana inteligencya, na lud patrząca z góry i puszcząca się jak paw', gdy ogon roztoczy.

Reporterzy podnoszą tę sprawę w Kuryerach, stawiają za przykład Paryż, w którym umieszczanie się według porządkowych numerów, już od bardzo dawna jest praktykowane z ogólnem wszystkich zadowoleniem. Jest to tak jak twierdzą, ale ze zmianą bardzo ważną.

Zwyczaj ten obowiązuje tylko jadących omnibusami bo tramwaje jak nasze nie chodzą po Paryżu, tylko kolej obwodowa parowa, w której nigdy miejsca dla nikogo nie braknie. Dyliżanse zaś mają tylko jedno wejście do środka i jedno na górę, przy których konduktor stojąc przepuszcza tylko według porządkowych numerów, ścisku więc ani tumultu tam nie ma, bo każdy wie, że przełamać porządku ustanowionego nie może i że konduktora słuchać musi bo bez jego zezwolenia nie

dostanie się do omnibusa. W Wiedniu przy tramwajach to samo się dzieje co u nas, kto pierwszy ten lepszy, siła więc zapewnia pierwszeństwo.

Dzienniki angielskie donoszą o straszliwych spustoszeniach zrządzonych w Indyach przez burze. W Moradabach spadł grad olbrzymiej wielkości; 150 osób zostało zabitemi, dachy większej części domów uległy zerwaniu, drzewa powyrywane są z korzeniami na znacznych przestrzeniach. W Dehli również szalała burza gradowa; pojedyńcze kule gradu miały kształt melona i ważyły 1 $^1/_2$ do 2 funtów. W Raybati, w Bengalu dolnym orkan zburzył 2,000 chat i zabił 20 ludzi. Miejscowość Chudressur, położona tuż pod Serampore zamieniona została w gruzy przez trąbę powietrzną, która trwała zaledwie trzy minuty. Orkan pozrywał wielkie łodzie z rzeki, a jedna łódź mniejsza podrzucona w górę spadając zaczepiła się o gałęzie wysokiego drzewa i na niej zawisła.

W gronie kobiet pracujących w rozmaitych zawodach praktycznych u nas, powstał projekt założenia wspólnemi siłami kasy oszczędności i pożyczkowej w Warszawie.

Obecnie główne inicyatorki przygotowują ustawę, która po opracowaniu i przedyskutowaniu wniesioną zostanie do władzy z prośbą o zatwierdzenie.

O ile nam wiadomo, „płeć brzydka" ma być zupełnie usuniętą od udziału zarówno w stowarzyszeniu przyszłem, jako też w zarządzie nowej instytucyi; nie przeszkadza to jednak aby mężczyźni nie popierali gorliwie szlachetnych usiłowań swych towarzyszek na polu pracy i nie pomagali im do ulżenia ciężkich niekiedy warunków bytu.

Przypuszczamy też, iż projektowana ustawa kasy pozostawi w tym względzie możność popierania jej także przez usuniętą płeć męzką, tymczasem dobrej myśli przyklaskujemy z całego serca i życzymy jej rychłego urzeczywistnienia.

W Petersburgu w Towarzystwie Literacko-Dramatycznem święcono pięćdziesięciolecie zawodu poetyckiego p. Apollona Majkowa. Jest to jeden z najstarszych i najbardziej utalentowanych pisarzy ruskich. Urodzony w roku 1821 niedaleko Moskwy, w r. 1838 wystąpił z utworami poetyckiemi ze świata klasycznego i w tej dziedzinie dosięgnął szczytu. Wielka znajomość świata starożytnego połączyła się w nim z talentem pieśniarza. Popularność swoją zawdzięcza jednak p. Majkow lirycznym utworom z życia narodowego, do których skłonił go zapewne znakomity krytyk Bielińskij swojemi recenzyami. W całej Rossyi powszechnie są znane poezye p. Majkowa z czasu reform Cesarza Aleksandra II, którym przyklaskiwał, a osobliwie wiersz o uwłaszczeniu włościan p. t. *Obrazek*, kończący się temi słowami: „Myśl zasadnicza wiadomości o uwolnieniu jeszcze jest ciemna dla nich, wszyscy jednakże widzą po nad sobą zorzę dni nowych. Zapłonie bracia ta zoreńka, ciemnościom koniec położy, dzieci wasze ujrzą światło niczem nieprzyćmione. Niech ciemność się sroży, ale dzień wielki przyjdzie. Okiem wieszcza dostrzegam pierwsze brzaski świtu. Płoną te brzaski w główce, w oczach tej dziewczynki wieśniaczej z książeczką w ręce. Wolność, bracia, to tylko pierwszy stopień do królestwa. Myśli w którem jaśnieje dzień wieczysty."

Od r. 1882 p. A. Majkow jest prezesem cenzury zagranicznej w Petersburgu.

Niedawno odbyły się w Paryżu i we Francyi dwa pojedynki, dowodzące wielkiej zwierzęcości ludzkiej a zarazem i... równej głupoty.

Oto co nam donoszą gazety.

Między dwoma głośnymi bokserami: Amerykaninem Sullivan'em i Anglikiem Mitchell'em, odbył się temi dniami pojedynek o palmę pierwszeństwa, na neutralnym gruncie we Francyi. Placem boju był lasek Ayremont pod Chantilly; stawka z obu stron wynosiła 1,000 fst.; 40 świadków, a zarazem przyjaciół zapaśników złożyło każdy po 30 fst. Bój trwał przeszło 3 godziny, ku końcowi śród ulewnego deszczu. Sullivan i Mitchell przyskakiwali do siebie 39 razy, rozbijali sobie pięściami policzki, nosy i uszy, ostatecznie pierwszy miał złamane żebro, drugi rękę; poczem dobrowolnie dalszej walki zaniechali, lecz żaden nie uznał się za zwyciężonego. Nazajutrz policya francuzka obu zapaśników aresztowała i odesłała do więzienia w Senlis; świadków zaś pociągnięto do odpowiedzialności sądowej, która zakończona rzemieniowym traktamentem splecionym z potrójnych pasków byłaby najodpowiedniejszą.

Drugi pojedynek tragiczniejsze miał rozwiązanie.

Malarz Feliks Dupuis żył w wielkiej przyjaźni z redaktorem dziennika *Le XVII Arrondissement*. Na jednym z poranków, jakie Dupuis urządzał w swojej pracowni, Habert krytykował żartobliwie sonet, który panna M., przyjaciółka pp. Dupuis, napisała na cześć obrazu artysty „Jezioro" i oświadczył, iż wydrukuje ów sonet w swojem piśmie w celu rozśmieszenia publiczności. Jakoż w kilka dni później wspomniany sonet ukazał się w dzienniku Habert'a, zaprawiony dwuznacznemi dowcipami. Pani Dupuis dowiedziawszy się o tem, napisała list do Habert'a, oznajmiając mu, iż tak ona jak i jej mąż zrywają z nim wszelkie stosunki. Habert nie dał żadnej odpowiedzi, lecz po kilku dniach ukazał się nagle w dzienniku jego gwałtowny artykuł, napadający na talent i charakter p. Dupuis. Oczywiście pojedynek tylko mógł być skutkiem takiego artykułu, jakoż odbył się: przeciwnicy strzelili do siebie jednocześnie z pistoletów i Dupuis padł na kolana a następnie na twarz, ugodzony śmiertelnie.

— Moja ukochana żono! moja biedna przyjaciółko! szepnął i wyzionął ducha na ręku sekundanta swego, p. Wogan.

Tak więc Habert nietylko zbezcześcił artystę, ale w dodatku jeszcze zabił według form prawnych towarzyskiej przyzwoitości.

U nas pozytywniej czasami zajścia się podobne rozwiązują. Poważnieni strzelają do siebie... kijami po grzbiecie.

Jak głód bywa najlepszym kucharzem, tak bieda często nad podziw zostaje niepojętej dobroci nauczycielem. Dawniej łokieć z kwartą za rzecz podłą i niewartą uważano, dziś pojęcia o godziwości pracy tak dalece zmieniły się, że arystokracya angielska coraz bardziej zwraca się ku różnym plebejuszowskim zawodom, bez obawy ubliżenia błękitnej krwi przodków swoich. Są już i hrabiowie którzy utrzymują dorożki, jest już i lord który przywdział niebieską bluzę rzeźnika, nie braknie też arystokratów handlujących winem lub zbożem. Obecnie posiada już i policya swego arystokratę, gdy G. A. Anson, drugi syn hrabiego Lichfield, otrzymał posadę naczelnego konstabla w hrabstwie Stafford. Liczbę magazynów mód zaś, prowadzonych przez damy z arystokracyi, powiększyła znów siostrzenica lady Elly, założywszy pracownię sukien damskich pod firmą: „Madame Victoire."

U nas w przewidywaniu upałów letnich, jedna z obywatelek zamieszkałych na prowincyi, przygotowuje większy zapas win owocowych chłodzących, których skład zamierza otworzyć w mieście naszem.

Wina te, jak twierdzą kompetentni, odznaczać się mają wybornym smakiem, zdrowotnością i nader dostępną ceną.

W tych warunkach napoje gazowe pozyskają groźnego konkurenta.

Czyn heroiczny. W Perry (Tenesse) podczas wykładu miss Julii Green, w miejscowym instytucie żeńskim, wpadł do sali od kilku dni włóczący się po okolicy pies wściekły. Pies rzucił się ku jednemu z dzieci, gdy śmiała nauczycielka, zasłaniając sobą uczenicę, z jedną tylko linią w ręku, rozpoczęła walkę z rozwścieczoną bestyą. Zapasy te trwały dość długo i nim na krzyk dzieci nadbiegła pomoc, pies na pannie Green w szmaty porwał odzienie, nie zdołał jej jednak zranić. Wdzięczni za ocalenie dziecka rodzice, zarządzili składkę na rzecz odważnej dziewczyny i złożyli jej sporą sumę pieniędzy i wspaniałego wierzchowca.

W tych dniach dwóch wyrobników warszawskich, naprzód pokłóciło się z sobą a następnie pobiło, skutkiem przezwania jednego z nich Kacpra Dominiaka... *polemistą*.

— To jest tak brzydka nazwa — objaśniał Dominiak przy badaniu, że nie mogłem wytrzymać i palnąłem w papę szkalownika.

Widocznie Dominiak czytuje arcypostępowe nasze pisma warszawskie, skoro być *polemistą* tak mu się wstrętnem wydaje.

* * *

— Czy to prawda, że ma być założony nowy lombard akcyjny z pobieraniem 21 proc. od małych pożyczek a od większych sto rubli przenoszących, osiemnaście od sta procentu?

— Tak piszą gazety.

— I czegóż to dowodzi?

— Zwiększania się ogólnego dobrobytu.

— A to jakim sposobem?

— Bo widocznie przybywa coraz więcej mających coś do zastawu.

* * *

Metamorfozy Germinala. Niewyczerpany w pomysłach kronikarz Figara Albert Millaud, w jednym z ostatnich numerów wspomnianego pisma zamieszcza wesołą parodyę usiłowań Emila Zoli i Williama Busnacha, chcących za pomocą dodatków i zmian zapewnić Germinalowi, który upadł na pierwszem przedstawieniu, powodzenie na scenie.

Ponieważ dochody ze sztuki są bardzo małe, przeto — pisze Millaud — proponuje Busnach Zoli, aby z dramatu zrobił komedyę.

— Komedyę? — woła Zola oburzony. — Nigdy, nigdy, chyba, że mi pan zaręczysz, iż w ten sposób pozyskamy większe dochody!

Busnach zaręcza, z Germinala robi się komedya, dochody wszakże nie wzrastają. Po tygodniu Busnach przychodzi do Zoli i mówi:

— Komedya to smutna historya, w komedyi tkwi zawsze filozofia. Zarobimy Germinalem dużo pieniędzy tylko wtedy, gdy zmienimy go na operetkę!

Zola wyrywa sobie włosy i chce zabić Busnacha, który wszakże łagodzi gniew swego współpracownika przekonywując go, iż partya Katarzyny wykonana przez Judic i partya Maheudeowej, odśpiewana przez Desclauzas a Lantiera przez Dupuisa, zrobią fororę.

Germinal przeistacza się tedy w operetkę, ale dochody się nie powiększają. W końcu Busnach nakłania Zolę do ułożenia pantominy z czterema clownami w rolach głównych, na tle Germinala, oczywiście bez dyalogu, stawianego im jako główny zarzut. Zola przystaje i na tę propozycyę, a pierwsze przedstawienie pantominy Germinal przynosi... 37 i pół fr. dochodu.

* * *

Jako wzór flegmy angielskiej opisuje jedno z pism angielskich następujące zdarzenie:

Sir W. Draggs, chcąc się dostać do swojego jachtu, który czekał na niego w porcie Brighton, pojechał dorożką nad brzeg i wysiadłszy kazał woźnicy czekać. Sir Draggs zamierzał odbyć krótką wycieczkę, ale jacht szybował po falach tak świetnie, a pobyt na nim był tak przyjemny, że właściciel zdecydował się puścić w podróż naokoło świata.

A dorożkarz na brzegu czekał tymczasem. Czekał dzień, dwa, tydzień, dwa tygodnie, nieopuszczając miejsca. Wreszcie poprosił władzy o pozwolenie wybudowania sobie namiotu, pod którym mógłby dla siebie i konia znaleźć schronienie.

Minął rok, dorożkarz żył w namiocie, palił fajkę, trzaskał z bicza. Pewnego dnia nadpłynął jacht i sir Draggs wylądował na ziemi ojczystej. Pierwszym człowiekiem jakiego spotkał był dorożkarz czemu się bynajmniej nie zdziwił.

— All right! — rzekł — co ci jestem winien?

Dorożkarz podał starannie zredagowany rachunek na 75 funtów szterlingów. Sir Draggs wyjął z pugilaresu czek, wypełnił go, podpisał i wręczył dorożkarzowi.

— Zawieź mnie teraz do hotelu—rzekł, wsiadł do dorożki, a gdy wyszedł z niej przed hotelem oznajmił dorożkarzowi, iż może odjechać.

— A za kurs? — zapytał woźnica.

— Masz słuszność — odparł sir Draggs i zapłacił jeszcze dwa szylingi.

* * *

Ulotne myśli gen. Boulangera. Drwiąc z banalności ostatniego dzieła Boulangera „l'Invasion allemande", Albetr Millaud podaje w „Figarze" z tegoż jakoby dzieła poczerpnięte następujące „myśli ulotne."

— Bardzo często, widząc człowieka w mundurze, poznaje się, że jest wojskowym.

— Pomiędzy kapitanem i generałem jest szereg wyższych oficerów: są oni zarazem wyższymi względem swych podwładnych i niższymi względem zwierzchników — istny obraz życia ludzkiego, gdzie jeden człowiek częstokroć słucha i rozkazuje—nigdy wprawdzie jednej osoby. Dlaczego? Niezgłębiona tajemnica.

— Zwycięztwo jest czemś wręcz przeciwnem porażce. Zdarza się czasem, że kosztuje od niej drożej, lecz to pewna, że porażka jest bardziej hańbiąca od zwycięztwa.

— Mówią, że zawdzięczam wiele Paulusowi—miejmy nadzieję, że historya wykaże, że to on zawdzięcza mi wszystko.

— Ludzkość ma swoje przymioty i wady. Wolę pierwsze od drugich. Zdaje mi się, że wiele osób podziela to zdanie.

— Złożono mnie z ministeryum w chwili, gdy miałem zaprowadzić ważne reformy: Gdybym był został, reformy te byłyby wprowadzone; nie zostały wprowadzone, bom musiał wyjść z ministeryum; gdybym tam znowu powrócił zostałyby wprowadzone; jeśli nie wrócę nie będą wprowadzone, chyba, że je kto wprowadzi bezemnie, albo, że ich nie wprowadzę jeślibym wrócił.

* * *

— Jakże dziś spałaś, moja duszko kochana, mój aniołeczku?

— Eh! nie nudź mnie swemi niemądremi nazwami. Gdybyś mnie zawsze po imieniu nazywał, tobyś nie zapomniał wczoraj o moich imieninach.

* * *

— Synek pani prośbą niemal natrętną nastaje, abym zjadł jeszcze kawałek pieczystego, jakże dowodzi ożywiającej go staropolskiej gościnności.

— Mateczko, szepcze synek, ja to robię dlatego, żeby ten pan później mniej zjadł legominy.

RÓŻNE MYŚLI.

Nie władza a prawo winno rozkazywać ludom.

Massillon.

ZAWIADOMIENIA.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyj nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpieszniejszego wykonania objawionego żądania.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 21 wyszedł z druku i zawiera:

Puszczyk. — Kamień na Jaworynie (drzeworyt). Prośba rolnika (wiersz). — Podróż Mickiewicza.— Ze wspomnień szkolnych. — Ciekawy ptaszek (drzeworyt). — Czyny nauczające. — Zbłąkany. Dodatek: Słoń (z drzeworytem). — Dzień dobry (wiersz). — Niunia. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Мая 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy)

Dodatek.